Interpretowanie podzielonego świata

Michał Paweł Markowski
Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu
Karakter, Kraków 2019

Gdy po niekończącym się liczeniu głosów oddanych w wyborach prezydenckich Donald Trump traci ostatecznie szansę na drugą kadencję, wydaje się, że równy marsz międzynarodówki prawicowych populistów zmierza ku końcowi. Niewiele później wśród krytyków amerykańskiego – dziś już oficjalnie byłego – prezydenta można wyczuć osobliwą nutę nostalgii. Odczuwaną nie wobec niego, ale wobec błyskotliwych esejów, ostrych satyr i śmiałych diagnoz, do których skłaniały jego rządy. Tuż przed lekturą książki Michała Pawła Markowskiego przeglądam pokaźną listę książek o Ameryce Trumpa zgromadzoną na półkach i dyskach. Męczą mnie pytania o ich aktualność, wydźwięk dystopijnych diagnoz, wreszcie styl i retorykę.

Przekonanie, że przedmiot namysłu zniknie jak złe wspomnienie, wydaje się jednak przedwczesne. Podobnie jak poczucie ulgi i myśl, że to analizy już przeterminowane.

Kiedy w końcu siadam do lektury, na Kapitol wdziera się rozwścieczony tłum składający się z wyznawców teorii spiskowej QAnon, zagorzałych wielbicieli nowo-

jorskiego dewelopera, który ich zdaniem został „okradziony z wyborów", a także – jak się później okaże – byłych mistrzów olimpijskich, policjantów i weteranów. Zamiast czytać, przez kilka godzin oglądam relację na żywo. Na kolanach trzymam wciąż zamknięte *Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu*.

*

Przed lekturą ociągam się jeszcze kilka razy, odczuwając swego rodzaju zmęczenie tematem. Znużenie wizją uzdrawiającej mocy dialogu, kolejnymi panaceami na bolączki dzisiejszego świata, morałami i epokowymi diagnozami. David Brooks pisał swego czasu w „The New York Timesie", że jego zdaniem wyborcy głosują na tych kandydatów, którzy mniej ich wyczerpują. „Zmęczenie stało się niezależną siłą w nowoczesnej polityce" – ocenił. Tego rodzaju osobliwą apatią zdaje się zaniepokojony Markowski. Sięga jednak do etapu wcześniejszego – szukając nie tyle leków na zmęczenie, ile pytając o źródła współczesnych konfliktów społeczno-polityczno-kulturowych. Wydaje się to zadanie cokolwiek karkołomne, szczególnie gdy zorientujemy się, że metoda autora opiera się przede wszystkim na interpretacji rzeczywistości.

Publikacja wpisuje się we wcześniejsze poszukiwania i zainteresowania autora – sygnalizowane w *Polityce wrażliwości: wprowadzeniu do humanistyki*, ale przede wszystkim w późniejszej *Kiwce*. Odnoszę wrażenie, że książka wydana przez Karakter podejmuje próbę przedarcia się do czytelników, którzy niekoniecznie dzielą z autorem pasję teoretycznoliteracką, może nawet nie mieli okazji sięgnąć po jego najsłynniejsze prace wydane jeszcze przed transatlantyckim transferem. Autor wielokrotnie podkreśla swoją gotowość do uwzględnienia perspektywy nieakademickiego czytelnika, a dokładniej – „wyborcy spoza duopolu". Zaznacza też – już na początku książki – punkt dojścia swojej refleksji albo – jak może powinniśmy powiedzieć – rekomendację dla rzeczywistości. Pisze: „[…] w sytuacji otwartego konfliktu kulturowego, który nas wszędzie osacza, konfliktu, który jest skutkiem utraty racjonalnych podstaw prowadzenia uniwersalnej debaty (lub tylko uznaniem, że takich podstaw nigdy nie było), jedynym rozwiązaniem wartym politycznego roztrząsania nie jest wcale, jak naiwnie uważają liberalni optymiści, *potrzeba rozmowy*, lecz *zmiana języka*, przy użyciu którego możemy o rzeczy wspólnej, jaką jest nasza *res publica*, rzeczpospolita, mówić. Tym językiem jest język sensu, nie wartości, i język interpretacji, nie opinii, i kto, niezależnie od rzeczywistości, w której tkwi po uszy, skłonny byłby, z powodów, które mnie nie zajmują, dać temu dyskursowi posłuch, jest wymarzonym czytelnikiem mojej książki".

Poza poszukiwaniem ocalającej mocy interpretacji i sensu (to słowo klucz całego eseju) poszczególnych zdarzeń i napięć, autor sięga po pokaźną grupę tekstów. Obok – nie zawsze dla mnie zrozumiałego – wyboru tekstów z zakresu nauk politycznych i społecznych, znajdziemy tu sporą garść publicystyki. Zarówno ten zestaw tekstów (niejednorodnych gatunkowo i językowo), jak i ich wykorzystanie może skłaniać do pytania o możliwość wyłonienia porządku z tego chaosu.

Nie jestem jednak pewna, czy to najbardziej pożyteczna lektura tej książki. Jedną z podstawowych cech tego kilkuczęściowego eseju jest doświadczenie kryzysowej rzeczywistości, z którego zdaje sprawę autor. Nie sposób mieć wątpliwości, że obserwacja rządów skrajnej prawicy w Polsce i Stanach Zjednoczonych napawa autora przerażeniem, epokowym lękiem, ale i troską. Jego reakcja na te procesy i pojedyncze zdarzenia jest ściśle zależna od jego pozycji – społecznej i akademickiej przede wszystkim. Krótko mówiąc: Markowski szuka narzędzi we własnej dziedzinie i próbuje powstrzymać rozpadającą się rzeczywistość interpretacją. Jest w tym donkiszoteria, wobec której odczuwam niepokój, ale i uznanie. Mogą się tu pojawić wyraziste skojarzenia z pozycją intelektualistów niemal sto lat temu. Mogą – ze szkołą frankfurcką. Wszystkie one mają w pewnym sensie nobilitujący charakter, ujawniając zarazem tragizm tej pozycji, tragizm kamuflowanej bezsilności. Witalność i intensywność tekstu Markowskiego nie dopuszcza tej tonacji do głosu. Odnoszę mimo to wrażenie, że nie tyle jej tam nie ma, ale że autor za wszelką cenę stara się ją zagłuszyć.

To bardzo intensywna, chwilami wręcz straceńcza, praca u podstaw. Markowski angażuje do tej analizy – jestem co do tego przekonana – pełnię swojej intelektualnej energii. Kiedy świat się wali, zdaje się melancholijnie pytać: czy interpretacja, rozumienie, poszukiwanie sensu mogą nas wydobyć spod ruin? Wydaje się, że autor odpowiada na to pytanie afirmatywnie. Z energią rozplątuje kolejne konteksty, pojedyncze zdarzenia, które obserwuje i w których sam bierze udział; wreszcie proponuje centralną korektę: sens powinien zastąpić wartości, musimy rozpoznać, co rozumiemy jako rzeczywistość.

Podchodzę do tej książki z dużą dozą empatii i melancholii, ponieważ rozumiem panikę autora, a nawet podzielam absurdalne poczucie, że może gdzieś w humanistyce kryje się złote runo i w końcu uda nam się je znaleźć, aby – trochę jak w filmach sci-fi – uratować ludzkość przed zagładą. W trakcie lektury prędko zdałam sobie sprawę, że czuję się mimo wszystko jak widz nieco innej narracji filmowej – bohater jeszcze nie wie, że to się nie uda. Ja już wiem. Nie daje mi to cienia satysfakcji, raczej poczucie tragizmu. Łatwo można zbyć wysiłki Markowskiego, wskazując na pewne nieścisłości w dowodzeniu, wcześniej wspomniany chaos, a także kapryśnie dobierane zdarzenia i anegdoty. Można, jak Patryk Szaj w swojej – nieco biurokratycznej – recenzji, uznać, że autor „bywa pryncypialny i, co chyba najgorsze, ucieka się do nieuczciwych chwytów interpretacyjnych" (ostatni człon jest w oryginale dodatkowo wytłuszczony; zob. „artPAPIER" 2019, nr 22). Nie podzielam tej perspektywy. W tej, którą przyjęłam, Markowskiemu bliżej do postawy Sándora Máraiego, autora dziennika, emigranta tęskniącego za porządkiem. Pisze Markowski: „Na naszych oczach kruszą się międzyludzkie regulacje i zakazy, które nie pozwalały przekładać niezgody na nienawiść, a na plan pierwszy w relacjach międzyludzkich wysuwa się jawna, lub tylko z trudem powstrzymywana, gwałtowność. Skoro jest tak źle, to co zrobić, żeby było lepiej? Otóż nie mam najlepszych wiadomości. Będzie jeszcze gorzej, albowiem w sukurs politycznym

podziałom idzie zmasowana potęga mediów społecznościowych, zamiast obiecanego globalnego połączenia fundujących nam globalną samotność, a z niej niektórzy nie widzą innego wyjścia jak tylko poprzez przemoc". Nie jestem przekonana, czy ogólnej refleksji przysłużyły się tak jednoznaczne diagnozy dotyczące współczesnej komunikacji (z perspektywy pandemicznej rzeczywistości wydaje się to tym bardziej złożony problem).

Odnoszę wrażenie, że trudno byłoby autorowi przyznać się do bezsilności wobec niektórych zjawisk, a nawet – problemów społeczno-politycznych. Te potencjalne miejsca wypełniają osobiste doświadczenia i obserwacje. Niektóre rzeczywiście sprawdzają się w tej funkcji, inne – jak refleksja, że sąsiad-demokrata, który jest sikhem, ma z autorem książki więcej wspólnego niż biały sąsiad, który głosuje na Trumpa – mogą skłaniać do stawiania niezbyt wygodnych pytań. Uwzględnienie jakich sfer codziennego życia w Stanach umożliwiają taką konstatację? A które mogłyby ją sfalsyfikować? W kilku momentach lektury zastanawiałam się, czy taka – cokolwiek uniwersalizująca – pozycja autora daje się łatwo obronić. Inne pytanie, które bym postawiła, dotyczy swobody (niezaprzeczalnie mającej swoje zalety) językowej i diagnostycznej, którą autor uzyskuje przez pisanie o amerykańskich wojnach kulturowych po polsku. Ta pozornie banalna kwestia, którą można sprowadzić do wyboru poszczególnych słów (na przykład krytyczne użycie bezpośredniego przekładu *n-word*), ale która sięga nieco dalej. Autor nie używa poza jednym (również krytycznym) przypadkiem pojęcia intersekcjonalizmu, a jednak w całej pracy i obszernych omówieniach pułapek polityki tożsamości wydaje się, że takie postawienie sprawy sprawdziłoby się doskonale dla uwypuklenia bardziej złożonych nierówności, a także pogmatwanych wątków ideologicznych. Wydaje się bowiem, że autor zgodziłby się z Robertem Pfallerem, który w tomie poświęconym współczesnemu uniwersalizmowi pisał: „Zamiast zapewniać obywatelom życie na pewnym ekonomicznym poziomie i troszczyć się o ich życiowe perspektywy w gospodarce, w której warunki pracy były coraz bardziej niepewne, politycy zajęli się głównie nadawaniem wszystkim grupom społecznym ładniejszych nazw, które nie będą urażać ich uczuć" (Robert Pfaller, *O tym, jak ważne jest bycie dorosłym. Etyczny partykularyzm a polityczny uniwersalizm*, w: *W poszukiwaniu wspólnego mianownika. Uniwersalizm i progresywna polityka kulturalna*, red. Jan Sowa, Warszawa 2019). Jest w tym niewątpliwie ziarnko prawdy, trudno jednak nie odnieść wrażenia, że te diagnozy mogą być bronią obosieczną.

Skoro bowiem fetyszyzowanie owych różnic jest podejściem do sprawy z niewłaściwej strony, można się zastanowić, czy obaj autorzy nie powtarzają tego gestu – odżegnując się od (choćby, jak twierdzą, niewystarczająco lub nieskutecznie) postępowych aktywistów, pisarzy, polityków. Jednocześnie nadal zastanawiam się, czy o wartościowości *identity politics* powinni rozstrzygać autorzy o najmniej marginalizowanym statusie po obu stronach oceanu – biali mężczyźni w średnim wieku związani z akademią. Nie mam na to pytanie ostatecznej odpowiedzi, jednak

skoro kwestia skuteczności politycznych dyskursów jest podsuwana przez obu autorów – uznałabym, że ten akurat postulat ma niewielkie szanse powodzenia, gdy wypowiedziany jest z tej pozycji.

Wracamy tu tym samym do wcześniej wspomnianego witalizmu i autobiograficznego potencjału tej publikacji. Na początku eseju autor podejmuje się swego rodzaju rewizji kariery pojęcia „różnicy". Pisze Markowski: „I ja tam byłem, miód i wino piłem; nie mogę powiedzieć, wszystko to było bardzo pociągające, zwłaszcza dla tych, którym śpieszno było do manifestowania długo tłumionej jednostkowości. Nierozstrzygalność zamiast rozstrzygalności, poróżnienie zamiast porozumienia, niezrozumiałość zamiast zrozumiałości, indywidualność zamiast solidarności". Ta osobliwa autokrytyka jest dla mnie twardym orzechem do zgryzienia. W ostatecznym rozrachunku przesłania nawet liczne polemiki, które wobec wniosków i obserwacji rzeczywistości mogłabym wysunąć. Markowski lokuje się na liminalnej pozycji. Niczym w rytuałach autentyczności, stoi przed tłumem i wyznaje swoje grzechy, na nowo ustanawiając się jako podmiot. „Ten sam", choć już nie „taki sam". *Wojny nowoczesnych plemion* są niespodziewanym zapisem procesu przenoszenia się z pierwszej do drugiej kolumny opozycyjnych pojęć, które autor eksponuje w całym tekście. Sam fakt budowania tak mocnych dualizmów musi czytelników wcześniejszych prac autora przyprawiać o co najmniej zdziwienie. Admiratorów przede wszystkim jego dekonstrukcyjnych i poststrukturalistycznych prac – wprowadzić w stupor. Markowski dokonuje tu bowiem czegoś więcej niż nowego otwarcia, ucieczki od tekstu do rzeczywistości. Mimochodem zdaje się w kilku fragmentach sygnalizować swoiste poczucie odpowiedzialności za bieżący stan rzeczy. Jest to w pewnym sensie godne podziwu. Liberalna perspektywa: „my kontra barbarzyńcy" – zyskuje dzięki temu nieco bardziej zniuansowany obraz. Nie jestem pewna, czy prawdziwy, ale na pewno zniuansowany. Towarzyszą temu bardziej problematyczne rozpoznania, które łatwo sfalsyfikować zarówno na poziomie przykładów, jak i śmiałych antropologicznych założeń („Kto zdania porządnie złożyć nie umie, a domaga się władzy, pokazuje jasno, że jego władza opierać się będzie na zwichniętej wizji rzeczywistości, pokracznej jak jego składnia. Obustronna to wszelako gra: kto mówi zbyt gładko, polerując puste komunały opakowane w nienaganne zdania, nie ceni rzeczywistości wcale wyżej niż jego niepiśmienny rywal"). Wydaje mi się jednak godne podziwu to, że autor próbuje zrezygnować z opcji, które oferują mu karty rozdane przez współczesny dyskurs. Ucieka jednak nie tylko od niego, poszukując na własną rękę – powiedzmy to wprost – nadziei. Ale ucieka także do rzeczywistości. W tym kontekście doświadczenie amerykańskiego uniwersytetu odciska się na perspektywie autora w sposób dość nieoczywisty.

Markowski wspomina kilkukrotnie (choć ogólnikowo) jedną z najciekawszych pozycji ostatnich lat, która wyszła spod pióra amerykańskiej profesorki. (Co symptomatyczne podobna próba pojawia się i u nas w formie raportu przygotowanego przez Macieja Gdulę we współpracy z Katarzyną Dębską i Kamilem Trepką:

Dobra zmiana w Miastku. Neoautorytaryzm w polskiej polityce z perspektywy małego miasta, Warszawa 2017). Arlie Russell Hochschild poszukuje w Luizjanie szansy na zrozumienie ludzi, którzy cenią raczej Partię Herbacianą niż Berniego Sandersa, raczej dostęp do broni niż do powszechnej opieki zdrowotnej, a eksploatację środowiska (w przeciwieństwie do ekologii) uznają za zabezpieczenie społecznego ładu. Autorka zdaje się niesiona podobnym impulsem co Markowski – postanawia sprawdzić rzeczywistość tam, gdzie stawia jej ona największy opór interpretacyjny. W aneksie książki pisze: „Często odnosiłam wrażenie, że ja i moi nowi przyjaciele żyjemy nie tylko w różnych regionach kraju, lecz także w różnych prawdach" (*Obcy we własnym kraju: gniew i żal amerykańskiej prawicy*, przeł. Hanna Pustuła, Warszawa 2017). Wydaje się to perspektywa pokrewna wobec tej, którą przyjmuje Markowski. W jego tekście zostały wskazane zamiast tego wartości, jednak pole znaczeniowe obu pojęć w tym kontekście w dużej mierze się pokrywa. Hochschild spędza pięć lat na Południu, szuka, rozmawia i błądzi. Mimo że nie otrzymujemy w jej pracy żadnej ostatecznej odpowiedzi, wydaje się, że to jedna z książek przebudowujących obraz świata, którego nie znamy, ale przede wszystkim – nie rozumiemy. Ten paradoksalny sukces Hochschild wynika moim zdaniem z dwóch powodów: autorka próbuje zawiesić to, co dotąd wie i powstrzymuje się przez większość narracji od wniosków. Nie jest to sentymentalne rozumienie dialogu à la Szymon Hołownia, ale raczej trudna, wymagająca i wyczerpująca praca, aby zrozumieć warunki stwarzające ekstremalnie spolaryzowane społeczeństwo. Odnoszę wrażenie, że dzięki autorce dowiedziałam się nie tylko wiele na temat obcych w Ameryce, ale także rozejrzałam się raz jeszcze wśród obcych w Polsce.

Zbliżoną funkcję upatruję w książce o nieco mniejszym rozmachu, ale również „organicznie" przełamującej polityczne wyobrażenia – mowa o książce Katarzyny Dudy *Kiedyś tu było życie, teraz jest tylko bieda* (Warszawa 2019). Obie pozycje mają nieco odmienny wydźwięk, wskazują jednak na ekonomiczne wykluczenie, poczucie zapomnienia i niezrozumienia jako źródła podziału. Zwraca uwagę na to także Markowski, bardzo trafnie kreśląc obraz wykluczenia. Twierdzenie, że kwestie ekonomiczne są „niewidzialną ręką" społecznego podziału, wydaje się słuszny, ale i fundamentalny dla całego eseju. Wracamy tu do intersekcjonalizmu, który autor wymija w swoich rozważaniach. Pisze w jednym z podsumowań: „Zawartość portfela liczy się bardziej niż kolor skóry". Mimo że zgodnie z duchem książki próbowałam dostosować się do dualistycznego stawiania spraw (bez sukcesu, co warto nadmienić), na koniec pozwolę sobie odpowiedzieć na tę diagnozę w duchu dawniejszych tekstów autora: i tak, i nie.

Olga Szmidt